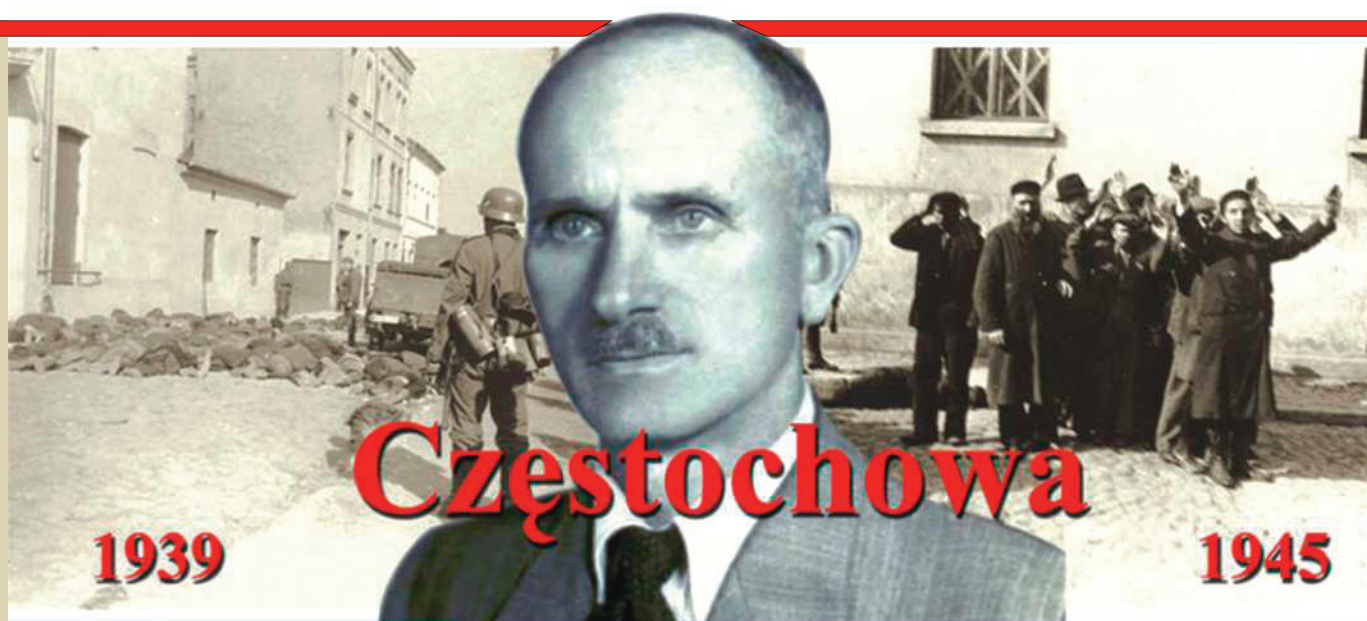


# *Franciszek Czekajewski*



## *Pamiętnik z Lat Okupacji Hitlerowskiej*

*Wstęp Jana Czekajewskiego*

Pamiętnik został zdeponowany w Bibliotece Narodowej w Warszawie  
14 grudnia 1977 r. w Księdze Przybytków pod numerem 1997D719

Wydawnictwo  
**KOBIETA**

## Przedmowa

Pamiętnik mego ojca, Franciszka Czekajewskiego, jest inny niż podobne wspomnienia z okresu II wojny światowej. Zwykle takie pamiętniki pisane są przez ludzi, którzy z uwagi na pozycję czy rangę, mogli się pochwalić bohaterstwem względnie znajomością tajemnic państwowych lub wojskowych. Pamiętnik mego ojca jest inny, ponieważ mój ojciec był jedynie technikiem w Urzędzie Telefonów w Częstochowie. Samoukiem, bez pełnego wykształcenia licealnego, który w okresie II wojny miał już ponad 50 lat.

Jego udział w „walce zbrojnej” z Niemcami przypadł na okres pierwszej wojny światowej (1914-1917), w szlifach Huzarów Cara Mikołaja Drugiego. Jak opisuję w Posłowniu do tego Pamiętnika, mój ojciec miał na tyle zdrowego rozsądku, że starał się raczej przeżyć I wojnę światową, niż umrzeć, bohatersko, za Cara.

W niniejszym Pamiętniku przeczytacie Państwo o zmaganiach tego człowieka i jego najbliższej rodziny w walce o przeżycie koszmarnego okresu wojny, kiedy największym, poza hitlerowcami, wrogiem był głód. Dlatego też, w większości zapisków, autor wspomina o cenach produktów żywnościowych i porównuje je z ówczesnymi uposażeniami. Drobiazgowo opisuje niemieckie zarządzenia, których zamiarem było zagłodzić Polaków zamieszkałych na terenie tak zwanej Generalnej Guberni. Gdy do codziennych represji okupant dołożył konfiskatę rowerów i drakońskie kary za handel żywnością. To właśnie dlatego, do końca swego życia, Ojciec miał obsesję kupowania wiktuałów pierwszej potrzeby. Choćby po to by przetrwać zimę. Jeszcze 20 lat po wojnie, a więc w latach 60., w listach pisanych do mnie, ojciec wspomina, że nareszcie może odetchnąć aż do wiosny – do przednówka, gdyż ma w piwnicy zmagazynowane 2 tony węgla (do opalania pieców), beczkę kiszzonej kapusty i dwa metry ziemniaków.

W ostatnich latach obserwujemy w Polsce, a szczególnie w USA, rewizję historii II wojny światowej. „Rewidenci Historii”, którzy mają wybiórczą, często sfalszowaną wiedzę o tym co się działo w czasie wojny w okupowanej przez Niemców Polsce, szkalują Polaków, utrzymując że współpracowali z hitlerowcami, sympatyzowali, a nawet czynnie uczestniczyli w mordowaniu Żydów. Autor tego Pamiętnika opisuje wywózkę Żydów z częstochowskiego getta i jego zapis z 4 X 1942 r, jest pełen smutku i współczucia dla niewinnych częstochowskich Żydów, których hitlerowcy skazali na zagładę. Czytelnik zapozna się także z atmosferą tzw. „łapanek” na ulicach w czasie których cześć złapanych ludzi wywożono do obozów koncentracyjnych, część zatrzymywano jako zakładników do rozstrzelania, a część wysyłano do niewolniczej pracy w Niemczech. Między zapiskami związanymi z członkami bliższej i dalszej rodziny, autor nawiązuje do wypadków na frontach wojennych, wykazując dużą znajomość faktów, mimo że był pozbawiony dostępu do obiektywnej informacji.

Ten Pamiętnik jest więc dokumentem historycznym o wypadkach i odczuciach przeciętnego Polaka i jego najbliższej rodziny, od pierwszego dnia wojny 1 września 1939 r. do końca wojny w 1945 r. Pamiętnik ten winien służyć następnym pokoleniom, które nie mają już okazji, by dowiedzieć się prawdy o tamtych czasach z ust tych członków rodziny, którzy wojnę przeżyli i jej okropieństw doświadczyli. Oni bowiem już odeszli z tej ziemi.

Jan Czekajewski („Januszek”)  
syn Franciszka Czekajewskiego

Pamiętnik ten został zdeponowany w Bibliotece Narodowej w Warszawie, 14 grudnia 1977 r. pod pozycją Księgi Przybytków: 1997D719



*Niemcy w Częstochowie 3-4 września 1939 r. Masowe morderstwa cywilnych Polaków i Żydów, po zajęciu Częstochowy. Zdjęcia zrobione przez niemieckiego żołnierza z kampanii karabinów maszynowych.*



Częstochowa, ulica Śniadeckich, gdzie mieszkał w czasie wojny Franciszek Czekański z rodziną.

N.-D. 8 V-VIII 44	N.-D. 10 V-VIII 44	N.-D. 11 V-VIII 44	N.-D. 12 V-VIII 44	N.-D. 13 V-VIII 44	N.-D. 14 V-VIII 44	N.-D. 15 V-VIII 44
-------------------------	--------------------------	--------------------------	--------------------------	--------------------------	--------------------------	--------------------------

N.-D.  
7  
V-VIII 44

## Seifen- und Haushaltkarte

für Nichtdeutsche im Generalgouvernement

Ważna na miesiące: Maj, Czerwiec, Lipiec, Sierpień 1944

*Franciszek Czekański*

Imię i Nazwisko posiadacza — u kobiet nazwisko panienskie

*25. I. 1890 Śniadeckich 48*

ur. dnia w miejsce zamieszkania Nr. domu i miesz.  
(Bei Betrieben/Dienststellen Angabe)

Duplikatów nie wydaje się  
Nadużycia beda karane

Przydziały wydają urzędowo wyznaczone i oznaczone miejsca sprzedaży w GG

N.-D. 5 V-VIII 44	N.-D. 4 V-VIII 44	N.-D. 3 V-VIII 44	N.-D. 2 V-VIII 44	N.-D. 1 V-VIII 44
August 1944 1 Stück Feinseife	August 1944 250 g Waschpulver	Juli 1944 1 Stück Feinseife	Juli 1944 250 g Waschpulver	Juni 1944 1 Stück Feinseife
				Juni 1944 250 g Waschpulver

**B**

Nr 594883

Dienststempel  
Wirtschaftsamtes

Stempel  
des Betriebs/Dienststelle  
(bei Gruppenangehörigen)  
Pieczęć przedsiębior./Plac.śl.  
zaop. grup.

oder

Stempel des Arb.- Amts  
bei Personengruppe 6  
Pieczęć Urzędu Pracy przy  
grupie 6

Kartka żywnościowa z okresu wojny.

# BEKANTMACHUNG

Beachtlich:

Beherbergung von geflüchteten Juden.

Es besteht Anlass zu folgendem Hinweis Gemäss der 3. Verordnung über Aufenthaltsbeschränkungen im Generalgouvernement vom 15.10.1941 (VO. Bl. GG. S. 595) unterliegen Juden, die den jüdischen Wohnbezirk unbefugte verlassen, der Todesstrafe.

Gegenüber der deutschen Vorkriegszeit unterliegen Personen, die wöchentlich Juden wöchentlich Unterschlupf gewähren, Beköstigung verweigern, oder Nahrungsmittel verkaufen, ebenfalls der Todesstrafe.

Die nichtjüdische Bevölkerung wird daher dringend gewarnt:

- 1.) Juden Unterschlupf zu gewähren,
- 2.) Juden Beköstigung zu verweigern,
- 3.) Juden Nahrungsmittel zu verkaufen.

Druckverbot, Art. 24, §. 42.

Der Stadthauptmann  
Dr. Franke

# OGŁOSZENIE

Dotyczy:

przełamywania ukrywających się żydów.

Zachodzi potrzeba przypomnienia, że stosownie do § 3 Rozporządzenia o ograniczeniach pobytu w Gen. Gub. z dnia 15. X. 1941 roku (Dz. Rozp. dla GG. str. 595) żydzi, opuszczający dzielnicę żydowską bez zezwolenia, podlegają karze śmierci.

Według tego rozporządzenia, osobom, które takim żydom świadomie udzieliły przytułku, dostarczały im lodowca lub sprzedawały artykuły żywnościowe, grozi również kara śmierci.

Niniejszym ostrzega się stanowczo ludność niezdrowia przed:

- 1.) udzielaniem żydom przytułku,
- 2.) dostarczaniem im jedzenia,
- 3.) sprzedawaniem im artykułów żywnościowych.

Częstochowa, dnia 24. 9. 42.

*Plakat rozlepiony w Częstochowie grożący śmiercią Polakom – Chrześcijanom za pomoc Żydom.*



*„Januszek” Czekaiewski i koledzy, zdjęcie uczniów klasy czwartej w okresie wojny, 3 wrzesień 1943 r.*



*Franciszek i Honorata Czekajewscy, zdjęcie ślubne z roku 1931.*



*Franciszek Czekajewski w mundurze Huzara (kawalerzysty) Cara Mikołaja II. Zdjęcie zrobione w Jelczu (Rosja), 24 czerwca 1913 r.*





*Franciszek Czekajewski z wnuczką Olgą w roku 1977 (kilka miesięcy przed śmiercią).*



*Jan Czekajewski, autor Posłowania, z Prezydentem Wałęsą w Houston, Texas, USA, 23 października 2004 r.*

### 1 IX 1939 r.

Śniło mi się, że nocą ponad Jasną Górą zmierzyły się ze sobą dwa wrogie sobie samoloty.

Pod silnym wrażeniem zbudziłem się niezwłocznie, była to bardzo ranna jeszcze godzina, zaledwie dniało. Otworzyłem okno i wraz ze świeżym orzeźwiający powietrzem odczułem głuchą detonację. Zbudziła się żona, „Co się dzieje?” – pyta. Wybiegliśmy na zewnątrz. Na ulicy już było wielu ciekawych. Teraz, po rosie, coraz wyraźniej słyszy się stale powtarzające się detonacje, płynące tu z oddali, z zachodu. Niebawem przeleciały nad miastem jakieś samoloty.

Wojna – nieprzyjaciel atakuje graniczne punkty.

Ludzie z niedowierzaniem przysłuchują się nowym dalekim grzmotom i ogłuszającemu warkotowi płynących nad miastem eskadr lotniczych, „To chyba manewry”, powtarzają sobie.

O godzinie 8.00, normalnie poszliśmy do pracy. Na wszelki wypadek przewiesiłem przez ramię maskę gazową. W wielu punktach miasta widać dużo młodych ludzi ze wsi dopytujących się o Starostwo, względnie P.K.K. W biurze kręci się dużo wojskowych. Z ust do ust powtarzana jest wiadomość o tym, że komunikacja z Wieluniem i Krzepicami została przerwana, że pogranicze płonie w ogniu wojennym.

O godzinie 10-ej Urząd otrzymał oficjalne zawiadomienie, że wojna istotnie już się rozpoczęła. O godz. 11.00 przybył do Urzędu naczelnik Poczty z Kłobucka, oświadczając, że Krzepice o świcie były zbombardowane. Wojska nieprzyjacielskie wkroczyły do miasteczka bez boju. W mieście i okolicy dużo zabitych i rannych.

Po Częstochowie snują się uciekinierzy cywilni z terenów objętych wojną, którym udało się przedrzeć przez pozycję. Niektórzy z nich w bieliźnie umknęli z płonących zagród. W godzinach od 11.00 – 14.00 otrzymujemy normalne pobory za miesiąc

wrzesień ze wszystkimi potrąceniami na Ligę Obrony Powietrznej, Fundusz Obrony Narodowej, Fundusz Obrony Morskiej itp.

Z każdą minutą udziela się wszystkim coraz większe podniecenie, o pracy nie ma już mowy.

Wydaje się ostatnie polecenia odnośnie ewakuacji mienia państwowego.

Na dziedzińcu naszego gmachu pojawiły się podwozy celem wywiezienia magazynów i innych urzędowych szpargałów. Do ostatniej chwili nie wiadomo, co mają czynić rodziny naszych pracowników, brak konkretnych w tym względzie zarządzeń działa przygnębiająco na cały personel. Niektórzy na własną rękę próbują ewakuować swe rodziny i ubogi dobytek.

Nad miastem unoszą się jakieś samoloty, większość przechodniów nie orientuje się nawet, do kogo one należą. Na krótko przez godz.15.00 koledzy powtarzają sobie lokalne zarządzenie urzędu, że ich rodziny z ręcznymi bagażami mogą się zgłosić na dziedzińcu gmachu pocztowego, skąd w miarę możliwości będą ewakuowane na tyły działań wojennych. Pobiegłem do domu, aby poczynić przygotowania do odjazdu.

W domu zastaję kuzynkę Władę, proponuje ona wspólny wyjazd ich końmi do Janowa. Mając na względzie trudności komunikacyjne urzędu, chętnie korzystam z nadarzającej się okazji i w godzinę później z żoną, z synem Januszkiem, z niewielką ilością pościeli, 2-ma walizami, koszem, a nawet łódeczkiem Januszka, pomknęliśmy przez Zawodzie, zabierając rodzinę Muskalskich do Janowa. Po drodze, w obrębie miasta, spotykamy gniazda karabinów maszynowych, a nawet działą przeciwlotnicze. Na szosie olsztyńskiej zegniam swoich do jutra, a sam wracam do biura po dalsze rozkazy.

Na dziedzińcu pocztowym wrze. Podwórko zapchane masą ludzi, w tym dużo kobiet i dzieci, objuczonych tobołkami, trwożnie wyczekujących pojazdów, które by, jak najspieszniej, wywiozły ich w bardziej bezpieczne miejscowości. Na podstawione furmanki, ku zgorszeniu zebranych, ładuje

się szpargały pocztowe, druty, izolatory itp. wątpliwej wartości materiały, a ludziska próżno czekają swej kolejki.

Nad pocztą i najbliższymi budynkami zagrały motory nieprzyjacielskich bombowców, panika, ludziska chronią się do bram, słysząc warkot karabinów maszynowych i trzaski dział przeciwlotniczych. Mimo gęstej strzelaniny wszystkie maszyny nieprzyjacielskie bezkarnie poszybowały dalej na Zachód.

Robi się zmierzch.

Na ulicach widzi się znajomych, popychających wózki z małymi dziećmi i pełne ręce bagaży. Wszystko to kieruje się na wschód. W przekonaniu, że władze nie są w stanie zagwarantować nam rychłej i planowej ewakuacji, pobiegłem jeszcze do domu, aby zabrać niezbędne mi do drogi drobiazgi, pożegnać teściów i na własną rękę posuwać się ku swoim. O godz. 8.00 wieczór jestem ponownie w urzędzie. Ścisk, tłok, nawoływania wśród powiększających się ciemności, tam kwili jakaś słaba dziecina, tu torsje męczą znajomego mi chłopca, a dalej jego ojciec półgłosem intonuje znaną arię: „Torreador”, jako że i w takiej chwili nie zapomniał o wyskokach i zbyt może nadużył alkoholu przed wymarszem.

Nadszedł jakiś wolny ciężarowy samochód, którym mają odjechać w pierwszym rzędzie kobiety i dzieci. W parę minut później wóz ten wypełniony po brzegi rusza z podwórka, na którym pozostaje jeszcze paręset osób z ogromną masą bagaży. Jeżeli chodzi o służbę techniczną, niektórzy z niej pełnią jeszcze te i inne czynności, ale większość już się zapodziała tzn. gdzieś powędrowali. O godz. 10.00 wieczorem, wspólnie z Tymczukiem ruszyliśmy pieszo, biorąc kierunek na Olsztyn.

W mieście kompletne ciemności i jakaś dziwna pustka, i tylko na szosie, już za miastem, posuwają się nieprzerwane sznury wozów, które jak i my kierują się na Olsztyn. Noc ciepła. Aby nie wpaść pod konie albo rozpedzony samochód, szliśmy brzegiem lasu. W połowie drogi usiedliśmy, aby nieco

wypocząć i zjeść skromny posiłek. O godz. 1.00 w nocy dobiliśmy do Olsztyna. Spotykamy naładowane wozy miejscowych gospodarzy, którzy z całym żywym inwentarzem opuszczają wioskę, aby skryć się w lasach. Nocujemy we wsi i o świcie ruszamy dalej. Droga na Janów zamknięta dla prywatnego ruchu kołowego. W dalszym ciągu widzi się w przydrożnych lasach i zagajnikach jakieś obozy czy tereny wojskowe.

Budzi się piękny jesienny, lecz bardzo ciepły dzień. Po godzinie jesteśmy we wsi Zrębice, gdzie miałem spotkać rodzinę. Po długich i męczących poszukiwaniach ruszamy znowu na trakt janowski.

Nad wsią od strony Olsztyna pokazały się 4 bombowce nieprzyjacielskie, przykucnęliśmy w rowie przydrożnym, a nad nami nisko wzdłuż całej wsi, jak straszne widmo dudniły ciężkie ich motory, wypatrując wroga. We wsi nie było żadnych oddziałów wojskowych. Po chwili dowiadujemy się, że samoloty te ostrzelały z karabinu maszynowego grupę dzieci siedzących przed chatą, raniąc jednego chłopca dotkliwie w nogę. Opodal w polu leżą zwłoki, jak należy wnosić z odzienia, gajowego lasów państwowych. Dokucza upał i znużenie po nieprzespanej nocy. Na drodze pełno furmanek, bydła i ludzkiego mrowia uciekających wciąż dalej i dalej.

W godzinach obiadowych dobrnęliśmy do Janowa. Na rynku spotykam Władę Muskalską, prowadzi nas ona do Piotra Siemiona, gdzie czasowo zatrzymali się nasi. Z wielką ulgą ich witam, jako że jesteśmy już za pozycją. Przez miasteczko w dalszym ciągu snują się nieprzebrane karawany uciekinierów z nad granicy niemieckiej i najbliższych okolic Częstochowy.

Wszystko to sprawia b. smutny widok.

Z wielką radością zmieniam przepoconą bieliznę i po skromnym posiłku udajemy się z Tymczukiem do stodoły, aby wyprostować sfatygowane kości i może się nieco przespać. Wielkie zmęczenie oraz podniecenie nerwowe jakoś nie sprawdza upragnionego snu. Jeszcze chwilka i słyszymy charak-

chodzi nas wyraźny już turkot wozu, to dobry wujek wraca po nas. Jeszcze chwila i nasze toboły i dzieci znów są na wozie. Rozpoczyna się teraz uciążliwa droga po kolana w piachu. Silne konisko z trudnością ciągnie niewielki ten ładunek.

Jedziemy jakimiś bocznymi dróżkami pełnych wykrotów i dawno już niewidzianych szlaków piaszczystych. Ożywia nas otucha, że z każdą chwilą zbliżamy się do Lelowa, jako wskazanego nam schroniska. Teraz jedziemy już sami tzn. oderwaliśmy się od tych mas spotykanych jeszcze przed godziną, które jak należy przypuszczać zjechały na właściwy trakt lelowski. Aczkolwiek to już późna noc, spotykamy w przydrożnych chałupach światelka i kręcących się po obejściu wieśniaków, wszyscy jak widać czuwają. Posuwamy się ciągle naprzód, dowiadując się przy tym, że do Lelowa mamy jeszcze 4 do 5 km. Teraz znów widzimy jakiś ruch na drodze, to w jedną to w drugą stronę idą piesi, na rowerach, małymi grupkami, to poszczególni osobnicy, cywile, żołnierze i policjanci. Jedni uciekają z Lelowa, inni doń zmierzają.

Mijamy jakieś chałupy, naraz furka nasza skręca w najbliższe podwórko i wujek zdecydowanie oświadcza nam, że dalej nie pojedzie i przed świtem musi wrócić do swoich. Wyładujemy nasze tobołki, przebudzone dzieci płaczą. Muskalska uderza w bek i z powrotem wrzuca na wóz swe dzieci i bety, wyjaśniając wujkowi, że woli być bliżej Janowa, niż tu w obcych dla niej stronach pozostawać. Krótka chwilka pożegnania, zapłata podwody i pozostaliśmy sami na obcym sobie podwórku.

Podchodzi do nas gospodarz, któremu wyjaśniamy powód naszego tu przybycia. Chciałoby się trochę odpocząć, więc pytam czy nie można by do stodoły.

Otworzył nam spichrz, gdzie na podłodze posłaliśmy sobie, układając Januszka i sami staramy się zasnąć.

Naraz słyszymy silną kanonadę, nadstawiam ucha i odnoszę wrażenie, że gdzieś w pobliżu stoi artyleria i zijeje

ogniem ponad nami, pociski, które rwą się w odległości 5-4 km na drodze Janów – Lelów. Żona odmawia pacierze, Januszek wylękniony płacze. Świta. Aby lepiej zorientować się w sytuacji, wychodzę ze spichrza. Pali się pobliska wioska. Płoną domostwa, rozjaśniając teren, umożliwiają celniejszy ostrzał pozostałych jeszcze chałup. Strwożony gospodarz klaruje mi, że to prawdopodobnie nieprzyjacielska artyleria atakuje wycofujące się nasze oddziały, rozwiane teraz po lasach i polach, a które przedzierają się obecnie na Lelów.

## **2 IX 39 r.**

Jest może czwarta rano. O spaniu nie ma już mowy. Staram się jak mogę wytłumaczyć swoim, że w obecnej chwili bezpośrednio nic nam nie grozi. Artyleria, która jeszcze praży, częściowo przenosi swój ogień na coraz dalsze tereny w stronę Lelowa.

Jak się później okazało nieprzyjacielskie zmotoryzowane oddziały stały sobie w odległości 400 m od nas, na szosie Żarki – Lelów, skąd bez najmniejszych przeszkód siały zniszczenie w okolicy. Po drodze, tuż koło naszych zabudowań, ciągle jeszcze widzi się uciekających. Zatrzymujemy młodego, bo zaledwie 17 lat mającego chłopca na rowerze. Na wylęknionym obliczu inteligentnego chłopca i po męczącej podróży widać wielkie zmęczenie. Mamusia kazała mi uciekać, wyjechałem o godz. 11.00 wieczór z Częstochowy, ale teraz nie wiem co dalej począć, opowiada nam ten miły chłopiec.

Łoskot artylerii przycicha. Na podwórko wysypała się cała rodzinka gospodarza, naliczyłem ośmioro drobnych dzieci, z których najstarsze liczyło lat 15. Teraz w blasku dnia widzimy dokładnie dopalającą się wioskę pod lasem. Poczuliśmy głód, prosimy gosposię, aby nam zagotowała mleka, na co chętnie się godzi. Jeszcze chwila i słyszymy warkot karabinu maszynowego, którego kule kładą się na naszym podwórku, wzdłownie lecą dalej.

Żona z Januszką kryją się do dołu przeznaczonego na kartofle. Dwa małe dolki nie mogą pomieścić licznej rodziny gospodarza, który z tego powodu czyni jakieś wymówki mej żonie, a sam, nie bacząc na gęsty syk kul, chodzi i dogląda jeszcze obejścia. Ja zaś z jakimś przygodnym cywilem, jaki znalazł się w tej chwili na podwórku, kryjemy się za stodołę, kładąc się plackiem na ziemi. Po paru minutach ogień przycicha i na polu w pobliżu naszego schroniska widzimy penetrujących żołnierzy nieprzyjacielskich. W obawie, że nasze ukryte tu osoby mogą się im wydać podejrzane, sam przywołałem ich do siebie, pytając łamaną niemczyzną, czy można już wyjść z ukrycia.

Młody, rumiany o puciołowatej gębie żołnierz machnął mi ręką i poszedł dalej. Pierwszy bezpośredni chrzest wojenny jak i zetknięcie się twarzą w twarz z wrogiem było dość przykre, ale wyszliśmy z nich obronną ręką, dlatego szybko poszły w niepamięć. Płoną teraz dwa najbliższe nas gospodarstwa, w których są zabici i ranni. Niemieckie czołgi obstukiwały teraz autobusy komunikacji miejskiej z Częstochowy, próbujące się przedostać za Lelów, nie wiedząc o tym, że szosa, do której zmierzały, jak i najbliższe już okolice obsadzone są nieprzyjacielem. Zorientowawszy się, że schronisko nasze, położone niemal na samym skrzyżowaniu dróg tj. Janów – Lelów i Żarki – Lelów, jest wysoce niebezpieczne wycofujemy się pośpiesznie w głąb pól i rozsianych z rzadka zabudowań kolonii Ślężany, zabierając ze sobą tylko to co najważniejsze, w tym małą poduszczkę, na wypadek gdyby trzeba było gdzieś Januszka ułożyć do snu. Biegając na przełaj po zoranych gruntach, po kilkunastu minutach dobrnęliśmy do paru chat, pobudowanych przy jakiejś polnej drodze.

Poprzednie gospodarstwo, a w nim i nasz dobytek, przesłoniło nam znaczne wzniesienie terenowe. Z uwagi właśnie na manatki, pozostawione na tym miejscu, boimy się zbyt oddalać. Na podwórku krzątanina i wyraźne zmieszanie domowników. Matka z córkami ładują kufry, pozostała gar-



derobę i obuwie wrzucają do głębokich dołów kartoflanych, nakrytych z wierzchu daszkiem, syn, dorastający mężczyzna, z końmi i bydłem, ucieka na znane im pobliskie mokradła. Jeszcze chwilka i rzuca nam na odjezdnym: „Niech Was Bóg uchowa”, jest tam w chacie chleb i mleko to się możecie posilić”. Istotnie byliśmy głodni, a więc chętnie korzystamy z propozycji.

Po spożytym śniadaniu rozglądamy się w terenie. Nam nasze schronisko, położone, co najmniej 1,5 km od poprzedniego, a jakieś może 1 km od szosy żareckiej, wydaje się bardziej bezpieczne. Jest może godz. 8.00 rano, niedziela i piękny, słoneczny poranek wrześnieowy. Z uwagi na widoczność Niemców, postanawiamy się gdzieś ukryć.

Zdecydowaliśmy się zająć jeszcze jeden pozostały wolny dół kartoflany, znajdujący się na tymże podwórku. Jest to na 2,5 m głębokości, zwężający się ku górze, w mocnym gruncie wybrany dół, w którym znajdujemy nie tak może wygodny, ale jednak bezpieczny schron. Kanonada, jakiej byliśmy świadkami przed półgodziną przeniosła się dalej. Wyjrzawszy z ukrycia w stronę szosy, w blasku słońca przy ogluszającym hałasie widać jak na dłoni nieprzerwane sznury czołgów, samochodów pancernych, motocykli i specjalne samochody pełne uzbrojonych żołnierzy. Wszystko to w zawrotnym pędzie mknie od Żarek na Lelów. Nasuwają się teraz przypuszczenia, nawet przeświadczenie, że zmotoryzowane oddziały nieprzyjacielskie odcinają odwrót naszym wojskom i to na znacznej chyba już przestrzeni. Aczkolwiek bezpośrednio nic nam tu teraz nie grozi, to jednak, obserwując brawurę, z jaką przewala się po naszej ziemi wroga nam armia, do duszy po trosze zakrada się zwątpienie. Nad szosą i najbliższą okolicą ciągle się widzi niemieckie samoloty, uparczywie czekamy naszych lotników, ale na próżno.

Jest już może godz. 11.00, znów wyglądam z ukrycia, wtem przez podwórko przebiega jakiś młody człowiek, zoba-

czył mnie i pyta, czy mógłby się do naszego dołu schronić. Jeszcze chwila i na dole opowiada, że przedziera się z Warszawy do Chrzanowa. Jechał w sobotę ostatnim pociągiem, wypełnionym po brzegi, i tak szczęśliwie dobrnęli do stacji Kłomnice, a tam wjeżdżający na stację pociąg przywitały gęste salwy karabinów maszynowych, ustawionych na wiadukcie czołgów niemieckich. W pociągu powstała nieopisana panika, leci szkło rozbitych szyb, krzyki rannych, co silniejsi, oknami wyskakiwali w pole, szukając w nim uciezki od śmierci. Maszynista próbuje ruszyć maszynę, ale w tejże chwili pada martwy na posterunku. Opowiadający jest właśnie jednym z tych, którym w tragicznej chwili udało się uciec z pociągu.

Posiliwszy się nieco, dziękuje za gościnę i żegna nas, nadmieniając, że dłużej nie może tu pozostać i za wszelką cenę musi przebijać się do swoich. Jesteśmy znów sami. Próbujemy drzemać, Januszek śpi już na dobre. Po pewnym czasie próbuję znów wyrzeć na zewnątrz. Słońce chyli się już ku zachodowi. Na szosie z zawrotną szybkością mkną motocykliści, to w jedną to w drugą stronę, a za nimi samochody, czołgi i tak na zmianę.

Za stodołą słyszę głosy, to nasi gospodarze wracają zajrzeć do domu. Wyszedłem i ja na podwórko, rozglądam się wkoło, pytam wieśniaków, co słyhać dalej po wsi, nic mi nie mogą powiedzieć, bowiem wracają ze swoich łąk – mokradeł. Niebawem wychodzą i moi z dołu, zwabieni rozmową na podwórku. Po krótkim namyśle zdecydowaliśmy wrócić do poprzedniego naszego schroniska, a raczej do naszych rzeczy pozostawionych na łaskę Opatrzności Boskiej. Robi się zmierzch. Ruszamy na przełaj polami, rozglądając się za domostwem, któreśmy z rana opuścili. Spalone gospodarstwo tak dalece zmieniło utrwalaony w pamięci obrazek, że z trudem odnajdujemy dość okazałe zabudowania naszego wieśniaka. Już z daleka poznaliśmy nasze grubo zasłane

słomiane strzechy. Na polach widzimy kilku żołnierzy niemieckich zajętych jakimiś pomiarami, czy czymś podobnym. Pytamy, czy możemy przejść do tych zabudowań, przytaknęli twierdząco i bez przeszkód dobrnęliśmy na miejsce. Cieszymy się teraz, że wszystko cośmy zostawili stoi, względnie leży po dawnemu i tylko nasza pościel przygotowana jakby do snu, a obok, przy spichrzu siedzi czterech młodych, tak sobie, z miejska odzianych mężczyzn. Jak się później okazało 3-ch z nich to częstochowianie, czwarty zaś gdzieś spod Żarek. Opowiedzieli nam, że niedawno byli tu Niemcy, że ich rewidowali, że wieczorem zapowiedzieli jeszcze swe odwiedziny. Po kolacji zmęczone głowy, pełne niesamowitych wrażeń układamy do snu.

#### 4 IX 1939 r. (w Ślęzanach)

Budzimy się wczesnym rankiem. Znowu zapowiada się jasny, słoneczny dzionek. Zgiełk wojenny jakby przycichł na naszym odcinku, jednak mnóstwo samolotów i nieprzerwane sznury zmotoryzowanych oddziałów ciągną dalej na Wschód. Zastanawiamy się teraz, co dalej czynić należy. Po skromnym śniadaniu przygotowujemy się do wymarszu, ponieważ o żadnej furmance nie może być mowy, przeto za radą naszych częstochowian, modyfikujemy nasze bagaże na 6 tobołków, które na plecach, przy pomocy wspomnianych mężczyzn mamy ponieść w stronę domu. Żegnamy gospodarzy, poruczając im opiekę nad pozostałym dobytkiem i ruszamy w stronę szosy. Na drodze w odległości kilkudziesięciu metrów od naszej chaty widzimy zwłoki 2-ch polskich żołnierzy w rowie przydrożnym, porzucone płaszcze i bluzy wojskowe, ręczne granaty, karabiny, jakieś skrzynie. Mijamy zgłiszcza, tłących się jeszcze, zabudowań. Na zakręcie, przy skrzyżowaniu dróg stoją posterunki niemieckie. Okazuje się, że 2-ch naszych kompanów (Szczerba i Motyl) mówi płynnie po niemiecku, co nam w dużej mierze ułatwia porozumiewanie się z okupantami.

Jeszcze chwila i stoimy przed obliczem jakiegoś sztabowca, któremu nie przypadłem zbyt do gustu, przy czym zauważył, że chyba tylko udaję i tendencyjnie unikam ich języka. Obejrzał nasze legitymacje urzędnicze i zalecił iść prosto traktem, nigdzie nie zbaczać do lasu, w pola, by tym sposobem nie narażać się na niebezpieczeństwo.

Idziemy wzdłuż szosy, w kierunku Żarek, pod prąd zmotoryzowanych sił nieprzyjacielskich. Objuczeni walizkami i z tobołkami na plecach, przez nikogo nie zatrzymywani, przedzieramy się ciągle naprzód przez chmury kurzu mnożącego się teraz po drodze. Wioskę Ślężany już straciliśmy z widoku.

Tak uszliśmy kilka km. Januszek po męsku dotrzymuje nam kroku. Dokucza upał, nieznośny kurz i pragnienie, które teraz gasimy zabranymi z sobą pomidorami. Urywa się szosa i brniemy w miękkim pyłe, wyschniętej na pieprz, polskiej drogi. Nad drogą i najbliższą okolicą unoszą się coraz większe tumany kurzu, wygląda to tak, jakby zasłony dymne chroniły posuwającą się armię.

Na pewnym dystansie ruch czołgów i samochodów wszelkiego rodzaju jakby ustał, od czasu do czasu przebiegają tylko motocykliści. Jesteśmy już blisko wsi Tomaszowice, z dala widzimy mknący w naszą stronę motocykl. Idziemy zwartą grupą, jest nas razem 7 osób. Motocyklista niepewny zetknięcia błyskawicznie dobywa z pochwy rewolwer i na wszelki wypadek kładzie go sobie na kierownicy, minąwszy nas strzelił trzykrotnie do lasu, obok którego teraz przejeżdżał. Wchodzimy do wsi. Przy pierwszej chałupie na drodze stoi warta niemiecka, a zobaczywszy nas podchodzą z wojskowymi bagnetami, wydzierając się przy tym na całe gardło, pytają, kto z nas przed chwilą strzelał. Tłumaczymy, że to ich żołnierz z motocykla strzelał w las, nie chcą wierzyć i repetując karabiny popychają nas naprzód. Mijamy grupę jeńców polskich, tak około 20 osób, stojących przy następnej chatce, podszedłszy bliżej konstatujemy, że są to żołnierze Żydzi.

Obserwacja nasza nie podobała się Niemcom, bo dopadł jeden z nich do żony i trzaskając zamkiem, czynił ruch jakby chciał wypalić. Oslupiała z przerażenia małżonkę pociągam za sobą. Wypadek ten, jak i pierwsze dni wojny, doprowadziły nadszarpnięte nerwy żony do takiego stanu, że trudno było z nią prowadzić jakąś rozmowę.

Pełni wrażeń i niesamowitych przeżyć posuwamy się ciągle naprzód. Wszędzie po drodze rzucają się w oczy te same obrazki t.j. rowy pełne jaszczy, uszkodzonych samochodów, tornistrów, rowerów, amunicji i nierzadko ciał ludzkich. Im dalej idziemy, nie bacząc na ciężar dźwiganych tobołków, upał i pragnienie, tym więcej stajemy się odporni na trudy podróży. Tylko Januszek nie może już podolać przydługiemu nieco marszowi i coraz częściej każe się nieść. Około południa wkraczamy do wsi Niegowa, pełnej Niemców i ich samochodów. Legitymowanie nas odbywało się w obecności zaciekawionych nami żołnierzy.

Trafiliśmy na jakiś czołowy oddział czerwonego krzyża, który rozbił tu namioty, czekając na dalsze rozkazy marszu. Korzystając z chwilowego wytchnienia, próbujemy odkurzyć naszą garderobę, umyć się nieco, no i pożywić. Grupa Niemców otoczyła nas kołem, próbując nawiązać z nami rozmowę, przychodziło nam to dosyć trudno, bowiem nasi kompani Szczerba i Motyl użyci zostali jako tłumacze, klarując okupantom dolegliwości, jakie z wojną spadły na biedne głowy miejscowych wieśniaków.

Tu grupa ludzi bezradnie starała się wytłumaczyć wojakom, że chcą się przedostać na cmentarz, aby pochować zwłoki kogoś bliskiego, tam jakaś kobiecina pragnie przejść do następnej wioski, dokąd uciekły jej dzieci. Inni jeszcze proszą o pozwolenie spędzenia bydła z pastwiska. Wszystkie prośby i lamentsy, jako niezrozumiałe, przyjmowali wojacy z uśmiechem, aż dopiero po dokumentnym wytłumaczeniu im poszczególnych spraw, przyzwolili na te czy inne wnioski.

W międzyczasie odkurzeni i domyci odpoczywamy tuż przy drodze w cieniu drzew. Nasi rozmówcy na wstępie kłarują nam o sile ich uderzenia, że Polska pod żadnym pozorem się nie ostoi, że Francja i Anglia w obecnej wojnie udziału nie bierze, dla których to powodów Włochy również nie angażują się na razie i wreszcie oświadczają nam, że ich zmotoryzowane korpusy przy udziale lotnictwa podbiją Polskę w 2 tygodnie. Poza tym starają się nam okazać wiele grzeczności, przynieśli nam chleba, zupy, kawy czarnej, naszego malca obdarowali czekoladą, cukierkami, żonie starali się ofiarować trofea wojenne jak nici, koronki itp. Ciekawiła ich nasza garderoba, bielizna, a zwłaszcza ceny oglądanych przedmiotów. Zważywszy, że dalszy marsz w pełnym rynsztunku, jeżeli idzie o Januszkę, jest już niemożliwy, szukamy przeto furmanki, która by, jeżeli już nie na miejsce, to przynajmniej podwiozła nas kilkanaście kilometrów w stronę domu. Poszukiwania nasze spęły na niczym. Słońce chyliło się ku zachodowi, a nasi opiekunowie stanowczo odradzali nam wyruszać przed nocą.

Zatem nocujemy w Niegowie. Jeden jakiś uczynny i przejęty naszą niedolą Niemiec pomieścił nas w opuszczonym lokalu miejscowego nauczyciela przynosząc nam chleba, kawy i świece. W wygodnych łózkach, po wielu nieprzespanych nocach, wypoczęliśmy należycie.

### **5 IX 1939 r.**

Po śniadaniu zbieramy manatki i ruszamy dalej – na Żarki, ale już bez Szczerby, zatrzymanego w roli tłumacza. Po paru kilometrach, Januszek skarży się na ból nóg i trzeba go dźwigać, przynajmniej co pewien czas.

Mijamy grupę uchodźców, posuwających się w stronę Żarek. Na wyładowanym tobołkami wozie siedzi kilkoro dzieci, za wozem ciągnie się rodzeństwo, a z nimi ledwo powłóczące nogami bydło. Korzystając z okazji, sadzam

Januszka na wóz ku wielkiemu niezadowoleniu gospodarza, czyli właściciela furmanki. Mimo dąsów chłopka, synek przejechał z 5 km, ale w końcu musiał ustąpić miejsca cielęciu, które pod żadnym pozorem nie chciało iść dalej. Na wozie zostaje nadal nasza waliza a Januszek idzie tuż przy mnie. Jesteśmy już blisko Żarek, które teraz dobrze widzimy ze wzgórza, jakie mijamy. Środkiem drogi naprzeciwko nas kroczy jakaś młoda niewiasta, rozwiane włosy, nieład w odzieniu i cały jej wygląd sprawiają wrażenie, że ma się tu do czynienia z umysłowo chorą, zrównawszy się z nami pyta z żydowska (z *akcentem żydowskim*) o drogę do Żarek, kiedy wyjaśniam jej, że idzie wręcz w przeciwnym kierunku, że należy zawrócić, bezradnie rozkłada ręce i z płaczem powtarza, że nie może trafić do Żarek. Domyśliłem się, że jest to zapewne ofiara bombardowania miasta, które zaledwie wczoraj opuściła.

Jeszcze chwila i wchodzimy do Leśniowa – przedmieście Żarek. W powietrzu czuć spaleniznę, dopalają się jeszcze niektóre zagrody. Wypocząwszy przy pierwszych zabudowaniach, rozpytujemy tu i ówdzie, czy nie odwiózłby nas ktoś do Częstochowy. Znaleźliśmy człowieka, któremu dopiekły już wojenne klótnie z domownikami (żona i teściowa) i z dala od domu chce zaznać choćby chwilowego spokoju i zapomnieć o płonącym mieście. Zapomnieliśmy o walizie, pozostawionej na wozie, którym jechał jakiś czas Januszek. Wybiegłem na drogę do Żarek, rozglądam się tu i ówdzie, lecz furmanka potoczyła się widocznie dość daleko. Naglimy do wyjazdu, myśląc, że tak obciążony wóz i trzoda przy nim nie mogą przecież zbyt daleko odjechać. Chłopek zmierzał również do Częstochowy, a właściwie do Blachowni, więc spodziewaliśmy się dogonić go po drodze. Obawialiśmy się tylko, że koła furki, którą mieliśmy odbyć dalszą podróż, rozsypią się po drodze, tak były sfatygowane. Jeszcze parę chwil i mamy go. Niedługo potem, już wszyscy razem, jesteśmy w Żarkach.

Oczom naszym przedstawia się żałosny widok, całe ulice spalone względnie zburzone od bomb, jest dużo zabitych i rannych wśród cywilów. W poniedziałek, jak mówili nam miejscowi ludzie, miasto ostrzeliwane było gęstym ogniem karabinów maszynowych. Na ulicach kompletna pustka, odnosi się wrażenie, że pozostali przy życiu musieli wynieść się z miasta i tylko na szosie w stronę Lelowa widzi się nieprzerwane sznury zmotoryzowanych sił niemieckich. W miarę posuwania się, spotykamy tu i ówdzie, nie uprzątnięte jeszcze zwłoki cywilów.

Po paru kilometrach porządnej szosy, brniemy teraz przez morze piasku, silny koń z trudem ciągnie lekki wóz. Zmierzamy do autostrady Sosnowiec – Częstochowa. Zatrzymujemy się we wsi Horyń, w której odpada od nas jeszcze jeden towarzysz podróży. Jest to jego rodzinna wieś, w której zastał zdrową rodzinę, a i gospodarstwo nieuszkodzone. Uradowany, że już jest ze swoimi i pod własną strzechą, traktuje nas poczęstunkiem. Zapijamy się zsiadłem mlekiem i zajadamy dobrym, wiejskim chlebem. Po ugaszeniu pragnienia i pierwszego głodu ruszamy dalej. Dla zabezpieczenia się na wszelki wypadek, nasz furman ściąga drutem wypadające z kół szprychy.

Wjechaliśmy znów na szosę, po godzinie mijamy stację kolejową w Poraju, następnie Kamienicę Polską i jesteśmy już na autostradzie. Wóz się toczy jak po stole i mimo niepewnych kół, wszyscy teraz nań siedzimy. Za wszelką cenę pragniemy dobić do domu przed zachodem słońca. Na przydrożnych domach czytamy rozlepione obwieszczenia naczelnego dowództwa sił zbrojnych niemieckich, że potężna i zwycięska armia niemiecka wprowadzi na ziemiach polskich ład i porządek, że trzeba jej się bezwzględnie podporządkować itd.

Zmierzch zastaje nas we wsi Wrzosowa, do domu pozostało nam 6-8 km. Nie zatrzymywani przez nikogo jedziemy dalej. Zrobiło się już kompletnie ciemno, kiedy stanęliśmy przed posterunkami niemieckimi, przy przejeździe kolejowym koło fabryki „Częstochowianka”. Miasto tonie w ciemnościach i tylko



przydrożne lampy elektryczne zapalają się w odstępach paru sekund. Po wyjaśnieniu sprawy, posterunek wpuszcza nas do miasta. Mijamy posterunek gdzieś może około godziny 9.00 wieczorem, w czasie gdy ruch osobowy obowiązuje tylko do 8.00. Jedziemy prawą stroną szosy, a po przeciwnej, w odwrotnym kierunku mkną niekończące się sznury nieprzyjacielskich samochodów. Jesteśmy już na moście przy ul. Narutowicza, kiedy rozpędzone ciężarowe auto, z braku należytego oświetlenia całym ciężarem uderza w zwwały rumowiska znajdującego się przy moście. Głuchy łoskot sprawił wrażenie, jakby ten niefortunny samochód, rozbił się doszczętnie. Przy blasku lampy stwierdziliśmy tylko, że samochód wspiał się wysoko na pryzmę kamienną. Po chwili słyszymy jakieś krzyki, sami staramy się możliwie szybko uciec, aby nie posądzono nas o jakiś sabotaż lub coś w tym guście. Jeszcze chwila i skręcamy w ulicę Małą. Dolatują nas niesamowite jakieś wrzaski i strzały karabinów. Grozę położenia potęgują jeszcze ciemności w bocznych ulicach, wskutek czego trudno i niebezpiecznie zarazem jest się poruszać. Zatrzymujemy się przy jakimś domu na ul. Małej, gdzie znalazł się nasz tłumacz, Motyl, wyjaśnia nam, że tu mieszka i tu jest jego rodzina. Prosimy go aby zechciał nam jeszcze towarzyszyć do naszego domu na ulicy Śniadeckich.

Wbrew niezadowoleniu swej żony, jedzie z nami na ul. Śniadeckich. W miarę jak się odsuwamy od ul. Narutowicza, jest coraz ciszej i ciemniej, miasto czyni wrażenie jakby zasnęło w głębokim śnie. Pełni trwogi i niepewności zbliżamy się ku domowi. Z dala widzimy pożar, ale trudno się nam zorientować na jakich ulicach się pali. Podjeżdżamy do domu i cieszymy się już z dala, że jednak pozostał nam dach nad głową. Po chwili otwierają nam sąsiedzi, dziwiąc się niezmiernie, że o tak późnej porze odważyliśmy się poruszać po mieście. Z uwagi na to, że klucze od mieszkania zostawiłem u rodziców, a niania Januszka również uciekła, nocujemy u naszych lokatorów na dole. Od nich dowiadujemy się, że wczoraj w mieście rozstrze-

lano paręset osób, zabranych z ulic. Część z nich pochowano w schronie przeciwlotniczym, przy ratuszu, drugą zaś partię pogrzebano w jakimś schronie przed katedrą, która na krótko przed egzekucją, służyła przez kilkanaście godzin jako więzienie dla mas ludzkich złapanych na mieście.

### **6 IX 39 r.**

Jesteśmy na własnym gospodarstwie. W mieszkaniu zastajemy wszystko po dawnemu. Po śniadaniu odjeżdża nasz furman, jak również żegnamy pana Motyla. Przed wieczorem zgłasza się nasza niania, która z siostrą i znajomymi wyemigrowała do Lelowa. Na skutek poniedziałkowych wypadków ludzie siedzą po domach, bojąc się pokazywać na ulicy. Chciałem odwiedzić rodziców, lecz zastałem bramę zamkniętą, a dozorca fabryczny wyjaśnił mi, że nie wolno mu nikogo wpuszczać za bramę, prócz pracowników i zamieszkałych tam ludzi. Wobec tego zmuszony byłem poprosić znajomych, aby poproszono kogoś z mojej rodziny. W kilka minut później rozmawiałem już z mamą Borkiewiczową, od której się dowiedziałem że wszyscy są w domu, brak tylko Zygmunta, który z soboty na niedzielę wyemigrował z kolegą, udając się na Janów.

### **7 IX 1939 r.**

Od samego rana widzimy całe eskadry nieprzyjacielskich bombowców, mknących z zachodu na wschód, a ogłuszający huk motorów sprawia nader przygnębiające wrażenie. Na murach miasta rozlepiono ogłoszenia nowych władz,

1. że broń i wszelkie ostre narzędzia należy niezwłocznie przekazać władzom niemieckim
2. że nie wolno pod groźbą śmierci palić światła w mieszkaniach, wyglądać z okien itp.
3. że każdy przechodzień zatrzymany na ulicy po godzinie 8.00 wieczorem będzie rozstrzelany itd.

Na ulicach zaczynają się pokazywać osobnicy z opaskami na ramieniu, są to ponoć członkowie straży obywatelskiej. Też noc budzi nas głośna kanonada. W oknach pokoju przebija się luna wielkiego pożaru, słyhać co chwila nowe wybuchy. Po nocy trudno się zorientować co się pali i skąd ta detonacja. Po chwilowej obserwacji wywnioskowaliśmy, że płonie Zacisze i nagromadzona w składach amunicja eksploduje w ogniu. Nazajutrz wyjaśniło się. Zapalił się pociąg naładowany benzyną, stojący na torach kolei herbskiej.

Żona poszła do biura, które na szczęście nie przerwało swych czynności.

### **10 IX 1939 r.**

Przez miasto płyną tysiące jeńców polskich, idą pieszo, jadą samochodami, zbiedzeni, chorzy, ranni i głodni. Grupują ich na stacji kolejowej Stradom, skąd po kilku godzinach, niekiedy po paru dniach mają być odtransportowani dalej w stronę Rzeszy.

Setki okolicznych mieszkańców starają się podać tym biedakom jakąś strawę, czy też choćby chleba kawałek, lecz gorliwa eskorta rozpędza takich śmiałków. Jeńcy rzucają w przechodniów kartkami, na których widnieją adresy rodziców i najbliższych.

Ciągła strzelanina wyprowadza ludzi z równowagi i nie daje wypocząć znękanym nerwom.

### **14 IX 1939 r.**

Lotom nieprzyjacielskich bombowców nie ma końca. Obserwujemy stale jak lecą z rana w kierunku Warszawy i jak wracają z wyprawy.

Staramy się poczynić jakieś zapasy żywnościowe. Ceny w sklepach skaczą. Wielu produktów brak, zwłaszcza chleba. Gonimy po mieście za wieloma drobiazgami niezbędnymi w domowym gospodarstwie.

**1 IX 1941 r.**

Dwa lata wojny!

Smutna to dla nas rocznica. Tyle istnień ludzkich, tyle krwi niewinnie przelanej, tyle łez, tyle mąk... A wojna ciągle trwa, wprawdzie wielkie batalie odbywają się już z dala od naszych granic, to jednak ucisk wojenny ani na chwilę nie zelżał, przeciwnie, co dzień się wzmaga. Zewsząd słyszy się o masowych aresztowaniach w dniach ostatnich, które i nasza Częstochowa również mocno odczuła. Oświęcim, Dachau i inne więzienia otrzymały świeże porcje naszych męczenników. Przed niedawnym dowiedziałem się, że mąż Ireny Nachtmanówny – Niebudek, znany na terenie Częstochowy działacz narodowy, ostatnio adwokat warszawski, po kilku tygodniach na „Pawiaku”, znalazł się w Oświęcimiu. Już niby po żniwach, ale cóż to może cieszyć mieszczucha, kiedy nic to nie wpływa na polepszenie stanu aprowizacji. Wieśniakowi nie wolno pokazać się w mieście z żadnym produktem, a i mieszkańcy miasta nie wolno nic wywieźć ze wsi. Wystawione straże na drogach, stacjach kolejowych i w pociągach odbierają najmniejszą ilość ziemniaków, mąki, kaszy, a jeżeli chodzi o mięso i tłuszcze to złapanego biedaka nie tylko się karze więzieniem do 2-ech lat, ale takiej karze, łącznie z konfiskatą, podlega osobnik, u którego dany produkt nabyto. Te i podobne zakazy do reszty pozbawiają miasto i ich mieszkańców tych pierwszych i nieodzownych do życia artykułów spożywczych. Od paru tygodni w wolnym i nieograniczonym żadnymi zakazami handlu prywatnym pokazały się jarzyny takie jak: kapusta, marchew, brukiew, buraki, którymi większość ludzi miasta dziś żyje, wynagradzając sobie nimi braki takich artykułów jak: chleb, mąka, kasza, mięso itp. Ze wszystkiego widać, że władze okupacyjne absolutnie nie czynią nic, aby ulżyć ciężkiej doli podbitego kraju, ale przeciwnie, aby go zagłodzić. Na potwierdzenie tych słów może służyć fakt, że obywatelom polskim pozostałym jeszcze na terenach tak zwanej dziś rzeszy nie wolno siać ozimin. Cały zapas ziarna winni oddać władzy, a na wiosnę pocieszać ich, że dostana do siewu jare zboże. Z tego by wynikało, że skończyły się żelazne zapasy żywnościowe w Niemczech, a ponieważ kampania się nie kończy, wszystko idzie dla armii i Niemców, a reszta niech ginie. Przeminięło już lato, którego prawie że nie zauważyliśmy, albo w takiej mierze jakby go wcale w tym roku nie było, chyba, że w kalendarzu tylko. Dopiero 1 września, a już tak chłodno, tyle opadów i tak jakoś posepnie, niczym w listopadzie. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że w maju i to w jego połowie padały jeszcze śniegi, że czerwiec jak i lipiec również wiele pozostawiały do życzenia pod względem ciepła i słońca, a z sierpniem uciekły resztki słabiutkiego tegorocznego lata, no to tak jakby istotnie go nie było. Dzień dzisiejszy, smutny w swej przykrej dla nas rocznicy, chmurny i chłodny rzucił mi jeden jaśniejszy promień, otóż

dziś z rozpoczęciem roku szkolnego, nasz jedynak oficjalnie po raz pierwszy przekroczył progi szkoły. Pomimo że nie skończył jeszcze 7 lat, jako pierwszorocznik, zasiadł w klasie II, z czego uczeń, jak i my rodzice jesteśmy dumni i szczęśliwi, tym więcej, że szkoła go bardzo pociąga. Towarzyszyłem mu w drodze na otwarcie roku szkolnego i nabożeństwo poprzedzające wykłady. Przybywszy na miejsce (gmach miejskiej szkoły powszechnej przy ul. Św. Barbary), dowiedzieliśmy się, że nasz student będzie uczęszczał do siedmioklasowej szkoły na ul. Sobieskiego. Po sprawdzeniu listy obecnych i udzieleniu kilku informacji, tysiące dzieci puszczone luzem rozsypało się po mieście, jedne z nich wracały do swych domów, inne podążyły do kościoła, zdążając na Mszę świętą, jak to praktykowało się w normalnych czasach, ale już bez swych kierowników, bez defilady i tego miłego nastroju, jaki zwykle towarzyszył tej uroczystości przed okupacją. Zarekwirowane przez okupantów gmachy szkolne sprawiły to, że 6 szkół powszechnych grupuje się dziś w jednym gmachu, który udało się władzom szkolnym od wojska wytargować. Skonfiskowanych w ub. roku podręczników nie ma czym zastąpić, więc dzieci uczą się obecnie albo bez książek, albo z jakichś przygodnie wyszukanych. Nas rodziców, jak i w ogóle całe polskie społeczeństwo, ciekawi dziś bardzo problem, czy nasi opiekunowie nie znajdą w krótkim czasie jakiegoś pretekstu, aby szkoły znów zawiesić, albo czy znajdzie się opał na zimę dla nich?

### **11 IX 1942 r.**

Dziś w pobliskich od Częstochowy Rudnikach zawisło na szubienicach 20-tu Polaków, robotników tamtejszych kamieniołomów. Była to kara za spisek przeciw tyranowi w nadzorze, oczywiście, Niemcowi. Przed niedawnym, w ten sam sposób stracono 11 gospodarzy na publicznym miejscu we wsi Dmenin koło Radomska. Giną ludziska jak długa i szeroka Polska nasza, czy to w więzieniach, czy w obozach, czy wreszcie na wschodnim froncie z bolszewikami, jako żołnierze armii niemieckiej, wcieleni doń siłą. Są to Pomorzanie, Poznaniacy i Ślązacy, których dziesiątki tysięcy pokutuje dziś w szeregach nieprzyjacielskich. Ja i syn Januszek zapadliśmy na szerzącą się w naszym mieście, a i w całym kraju dokuczliwą chorobę – biegunkę, na szczęście bezkrwawą. Od dwóch dni leżymy w łóżku, odżywiają się jabłkami i przepisany przez lekarza proszkami. Choroba ma przebieg ostry, zwłaszcza u mnie, ale niezbyt ciężki. Mam nadzieję, że po paru dniach wrócimy do zdrowia. Wspomniana choroba tak w mieście jak i okolicy pociągnęła za sobą wiele wypadków śmiertelnych. Wczoraj, po czterech

tygodniach pobytu w szpitalu wróciła do nas nasza gospodyni – Stachowska. Chorowała na dur brzuszny, dziś jako słaba jeszcze rekonwalescentka musi się krzątać koło chorych nas domowników, a więc w nieszczęściu szczęście.

Utrzymuje się nadal piękna i bardzo słoneczna pogoda.

Odczuwa się brak deszczu. Z uwagi na wybitną posuchę, tu i ówdzie rozpoczyna się kopanie ziemniaków, które na ogół dopisały w tym roku.

#### **4 X 1942 r.**

Dziś w rannych godzinach odszedł z Częstochowy piąty z kolei kilkudziesięcny transport Żydów wysiedlonych z naszego miasta. Ładowano ich na stacji towarowej Warta, tuż przy fabryce, w której pracuję i miałem możliwość patrzeć na ten istotnie smutny obraz. Biedacy, porzuciwszy cały swój dobytek, idą w nieznaną z małymi tobołkami na plecach, do których jeszcze bardzo często zaglądną przedstawiciele władzy, zabierając z nich dosłownie wszystko, co im do gustu, przypadnie, ściągają z nóg lepsze obuwie, zdejmują palta, koce, biżuterię. Idą starzy, młodzi, dzieci, te ostatnie płaczą i kwilą na upadających ze zmęczenia barkach rodziców czy bliskich. Podwożą na wozach chorych i kaleki, a wszystko to w, nie do wiary, szybkim tempie, smagane biczami albo dla odmiany pałkami gumowymi. Zamyka się ich na głucho w wypchanych po brzegi (ponoć po 100 osób) bydlęcych wagonach. Krążą wieści, że wiele znanych w mieście rodzin żydowskich przed wysiedleniem skończyło samobójstwem. Transporty żydowskie, jak twierdzą, kierowane są gdzieś w okolice stacji kolejowej Małkinia.

Opróżniona dzielnica żydowska czyni dziś niesamowite wrażenie. Chwilami zdawać by się mogło, że właśnie tymi ulicami przeszła dżuma i zarazą swą wykosiła tu wszystkich.

Otwarte okna, balkony zieją głuchą pustką swych wnętrz, wiatr targa oknami, leci szkło na chodniki i puste podwórka. I tylko od czasu do czasu widzi się żandarmów snujących się wzdłuż wyludnionych ulic, względnie żołnierzy Ukraińców, utrzymujących straż w getcie. Ciszę zamierającej dzielnicy przerywa od czasu do czasu suchy strzał karabinu zwiastujący, że znowu ktoś tam wyzionął ducha. W omawianej dzielnicy zginęło ponoć dwudziestu Polaków, niosących pomoc Żydom, względnie próbujących jeszcze niebezpiecznego handlu.

Świadczą o tym wielkie zbiorowe mogiły przy ulicy Kawiej.

Na razie obserwuje się taki stan rzeczy, że niektóre fabryki i zakłady pracy zatrzymały pewien kontyngent Żydów – mężczyzn jako swych robotników, względnie fachowców, są to przeważnie zakłady należące do grupy A. W innych przedsiębiorstwach, które do ostatnich wypadków zatrudniały znaczne ilości Żydów, braku ich dał się mocno we znaki. Na przykład papiernia, w której obecnie pracuję, na skutek odpływu Żydów, zmuszona była zawiesić czynności aż do czasu jakiejś reorganizacji.

Teściowie – Borkiewiczowie otrzymali oficjalne wymówienie mieszkania, które mają opuścić z końcem października. W Częstochowie i okolicy, zwłaszcza po wsiach słyszy się o masowych łapanek ludzi, których przymusowo wywożą do Niemiec. Setki podróżnych zabranych z pociągów, przybywających ostatnio do Częstochowy, również znalazło się dziś w drodze do Reichu, słowem nigdzie człek niepewny godziny. Krążą również pogłoski o masowym wysiedlaniu Polaków z Częstochowy. Czekają nas jeszcze ciężkie chwile nim się ta okropna wojna skończy, a tu trzeba przyznać, że nic nie zwiastuje rychłego jej końca. Według oficjalnej prasy niemieckiej, od paru już tygodni toczą się niebywale ciężkie walki o Stalingrad. Na wszystkich innych odcinkach rozległego frontu wschodniego atakują bolszewicy, ale jak dotąd bez większych rezultatów. Na Kaukazie z trudem i powoli, ale wciąż naprzód posuwają się Niemcy. W dalszym ciągu utrzymuje się sucha i słoneczna pogoda. Przed paru dniami rozmawiałem z Ukraińcami z okolic Połtawy, udającymi się na roboty rolne do Niemiec, powiadali, że na całej Ukrainie od paru tygodni panuje niebywała posucha. Masowy odpływ z ojczyzny tłumaczy wielką biedą, jaka się wytworzyła w zburzonych miastach i większych centrach przemysłowych Ukrainy, oraz nakazem władz, na mocy którego wywożą milionowe chyba rzesze młodzieży ukraińskiej, zwłaszcza rolniczej. Że się nie udało bolszewikom wytepić doszczętnie religii u swych obywateli, świadczą krzyżyki na piersiach moich przygodnych rozmówców.

### **18 X 1942 r.**

Ubiegły tydzień upłynął nam częstochowianom pod znakiem masowych łapanek. Zaczęło się od kupców. Otóż na mocy jakiegoś tam zarządzenia wezwano wszystkich kupców do stawienia się w poniedziałek do sali kina „Luna”.

W pewnej chwili zamknięto wszystkie wejścia i wyjścia, a na estradzie zjawił się burmistrz, obwieszczać zebranym, że Niemcy, na skutek prowadzonej wojny, potrzebują dużo rąk do pracy w ich rodzinnych stronach i dlatego zebrani tu kupcy znajdą tam szerokie pole do działania, troskliwą opiekę, odpowiednie wyżywienie, oraz wynagrodzenie.

Koniec końców, przymusowej emigracji na roboty podlegli obecni w wieku od 18 – 55 roku życia. Kiedy odpłynął transport podstępnie przychwyconych kupców, przyszła kolej na robotników fabrycznych. W czwartek 15 X o godz. 14.00 na teren kilku większych fabryk naszego miasta wkroczyło wojsko względnie żandarmeria. Według z góry przygotowanych list zabrano pokaźny odsetek młodzieży w wieku od 16 – 55 lat. Omawianym tu „brankom” towarzyszyły przygnębiające sceny. Co i rusz wzywano pogotowie, aby cucić względnie ratować omdlałych i chorych. Pod bramami zamkniętych fabryk w międzyczasie zebrały się tłumy rodzin i bliskich, aby chociaż

w ostatniej chwili, bodaj z daleka, popatrzeć na swoich. Po paru godzinach męczącego wyczekiwania rozwarły się bramy i ruszyły ciężarowe samochody pełne zrozpaczonych, naszych biedaków, odstawianych pod silną eskortą na punkt zbiorczy. Dziś właśnie w godzinach między 11.00 a 12.00 odchodził na zachód transport częstochowskich robotników wyłapanych w czwartek, oczywiście po krótkiej kwarantannie i selekcji osobistej. Zebrane tłumy rodzin tylko z daleka mogły przyglądać się odjeżdżającym.

### **9 XI 1942 r.**

Po długotrwałej, suchej i pięknej pogodzie, przyszła prawdziwa jesień. Opuściły się deszcze, spochmurniało niebo, a w parkach i alejkach gęsto sypią liście, czyniąc drzewa na wpół nagie. A więc przyszła jesień i tak gorąco wyczekiwany listopad, w którym według jakichś tam matematycznych obliczeń miała się skończyć uprzykrzona obecna wojna. Posuwamy się ku połowie miesiąca, lecz żadnych znaków szczególnych nie obserwujemy, które by miały jakiś związek z rychłym zakończeniem wojny.

U nas, w Częstochowie skończyli Niemcy z Żydami. Wywieźli ich kilkadziesiąt tysięcy, pozostawiając dwa do trzech tysięcy młodzieży niezbędnej do robót publicznych. Od paru tygodni w opustoszałym getcie pracuje komisja niemiecka nad uporządkowaniem, segregacją i wywozem pozostawionego przez Żydów mienia. Przed paroma dniami na murach miasta rozlepiono afisze wzywające Niemców do kupna różnego rodzaju mebli i sprzętów domowych po Żydach. W dwa czy trzy dni później, tj. kiedy obkupili się Niemcy, względnie wywieźli wszystko, co przedstawiało sobą taką wartość, dopuszczono łaskawie do licytacji i naszych. Niezależnie od wspomnianej wyżej transakcji wielkie masy różnego rodzaju rupieci zwozi się na specjalne składowiska. I tak np. na wielkim placu przy ulicy Pułaskiego, vis a vis Staszica, już leżą pod gołym niebem wielkie zwały mebli, w innych punktach – naczyń i wyrobów metalowych. Wszystko to na słońce i mrozie gnije, rdzewieje i czeka jakichś dalszych zarządzeń.

### **16 I 1945 r.**

Mroźny styczniowy, chociaż jasny i cichy poranek zastał już o godzinie 8.00 w naszym pokoju biurowym grono kolegów, żadnych świeżych wiadomości odnośnie zajęcia Kielc i dalszego posuwania się Sowieckiej Armii na zachód. Z przekazem wykpiwano sensacyjne opowiadanie przygodnych kolporterów o podjazdach czołgów i innych formacji



sowieckich, rzekomo widzianych we Włoszczowie, Złotym Potoku i bliższych miejscowościach naszego grodu. Gremialnie orzekliśmy, że jest to nic innego jak bujna wyobraźnia ludzka, uprzedzająca fakty.

Po godzinie takiego politykowania towarzystwo rozeszło się po biurze, jeśli już nie do pracy, to przynajmniej do jej udawania. Jeszcze godzina kręcenia się po nieczynnej fabryce i o 10.00 wyszedłem na miasto, oczywiście w sprawach służbowych. W mieście ruch wzmożony. Ulicami ciągną długie szeregi ładownych wozów chłopskich, pełne dobytku wojskowego. Gładko podkute konie, a częstokroć w ogóle bez podków, ślizgając się po zlodowaciałej asfaltowej jezdni, co chwila padają jak snopy, tamując tym sposobem i tak anormalny ruch uliczny. Jak się później okazało, wspomniani kmiotkowie, to gospodarze z okolic Włoszczowy, Koniecpola i innych, pobrani przed trzema dniami na podwozy wojskowe, jadą w nieznaną, bez ciepłej strawy, a niekiedy bez kawałka chleba. Zaprzęgi konne w szybkim pędzie mijają długie sznury ciężarowych samochodów, to znów jakieś drobne oddziały wojska maszerują, a wszystko to ciągnie na Zachód.

Społeczeństwo Częstochowy, śmiało by można rzec, przywykło już do tego rodzaju obrazków i dlatego też nie przywiązywało dzisiaj do takiego tumultu jakiegoś większego znaczenia.

O godzinie 11.30 złożyłem urzędową wizytę inżynierowi Moild, niemieckiemu dyrektorowi naszej firmy, przebywającemu na kuracji w szpitalu obok Jasnej Góry. Opuszczając szpital, zegar na wieży Jasnogórskiej wydzwaniał godz.

12.00. Z uwagi na późną już porę, miał do fabryki, udałem się do domu na obiad. Przechodząc ulicą Słowackiego, słyszę nad sobą warkot samolotu, a po chwili charakterystyczny grzechot karabinów maszynowych w powietrzu. Zrozumiałem, że ma się tu do czynienia z nalotem obcych samolotów.

Przeczekawszy chwilę, poszedłem do domu. Po obiedzie, o godzinie 14.00 ruszyłem do biura, ale już w połowie drogi spotykają mnie znajome panie z naszej fabryki, wyjaśniając, że podczas alarmu cała załoga fabryczna rozbiegła się po domach, chociaż biura w dalszym ciągu urzędują. Radzą mi nie chodzić już do pracy. Z uwagi na posiadane różne dokumenty biurowe postanowiłem jednak pójść.

Nie uszedłem może 100 metrów, aż tu widzę jak ulicą Ogrodową od strony katedry w panicznym popłochu biegnie ktoś żywy ku przejazdowi kolejowemu na ul. Stradomskiej. Za pieszymi wozy wojskowe, samochody i mniejsze grupy wojskowe, w zawrotnym pędzie mkną ku zachodniej stronie miasta. W przelocie pytam, co się dzieje? dlaczego uciekacie? Odpowiadają: „Sowieckie czołgi na ulicy Warszawskiej”. Zmieszałem się z tłumem i biegnę wreszcie ku domowi.

Po drodze słyszę trzask zamykanych sklepów. Z ust do ust podaje się tę trwożną i zarazem radosną wiadomość. Rozlega się huk armat, nad głową wyją złowieszczą pociski. Jeszcze chwila i już jestem ze swoimi. Pospiesznie pakujemy walizki i wiążę pościel. Żona z synem w międzyczasie przenoszą się do piwnic, ja w dalszym ciągu pakuję, ale praca jakoś nie idzie, gubię się w wyborze bagaży do zapakowania. Uderzyły pociski i to gdzieś bardzo blisko, wyleciały pierwsze szyby okienne.

Uciekam i ja do piwnic, zebrane tu kobiety i dzieci zawodzą żałośnie. Ktoś krzyczy, żeby wychodzić z piwnic, bo dom się wali. Skonstatowałem, że w wielu miejscach posypał się tynk i uspokoiłem wystraszonych. Jeszcze chwila i 3 potężne czołgi sowieckie pokazały się w całości, niemal za naszymi oknami tj. przy skrzyżowaniu ulic Mickiewicza i Krasińskiego, i zieją ogniem karabinów maszynowych po pierzchających rozbitkach niemieckich. Po chwili wspomniane czołgi zawracają ku ulicy Al. Wolności. Kanonada przeniosła się już na inne dzielnice miasta. Wybiegamy oglądać najbliższe nas tereny, które przeorały omawiane tu czołgi. Wzdłuż ulicy Mickiewicza, na małym jej odcinku, leżą spalone 2 duże samochody niemieckie. Wiele domów ucierpiało od pocisków. Pod nogami dużo szkła. Zapada zmierzch. Podchodzi do nas grupa żołnierzy niemieckich i zapytuje o najkrótszą drogę do Lublińca, połowa z nich bez karabinów, obawiają się zetknięcia z czołgami przeciwnika.

Tu i ówdzie widać pożary. Niedaleko od nas płoną wielkie magazyny wojskowe przy ulicy Handlowej. W okolicy koszar Zacisze palą się składy amunicji, pożarowi towarzyszą ogłuszające huki eksplodowanych pocisków i materiałów wybuchowych. Snopy ognia i różnobarwnych iskier, razem z detonacją, co chwila unoszą się w powietrze jak pyszne rakiety świetlne. Z nastaniem nocy opuszczamy piwnice. W domu spożywamy skromny posiłek i układamy się do snu, oczywiście wszyscy w ubraniu. Łuny pożarów potężnieją z każdą chwilą. Silne nadzwyczaj wybuchy w dalszym ciągu wstrząsają całym domem, o śnie jako takim nie może być mowy. Czuwamy na zmianę.